

DF Co robią franciszkanki w Maroku?

P

Po południu Barbara i Marie wracają w góry. Szarif Zanun zakłada na osły nosidła, pakuje koce, jedzenie, torby i lekarstwa. – Sam nie wiem, jak Marie tam dociera – kręci głową – przecież dobiega już dziewięćdziesiątka! Tylko Allah to może wyjaśnić.

Zakonnice ruszają kamienistym traktem. Ścieżka, która doprowadzi je do namiotów nomadów na wysokości 3500 m, wije się wśród różowych wzgórz. W dali czerwienieje Dżabal Ajażi, najwyższy w okolicy szczyt Atlasu Wysokiego, otoczony mgiełką lub wianuszkami śniegu.

Pozdrowcie stomatologa

Kilka dni wcześniej.

Tataouine – jedna z biedniejszych wsi Maroka, 36 glinianych domków, trochę osłów, kóz, owiec, splachetki pól obsadzone lichymi warzywami. Stary meczet się zawalił. Mężczyźni, by pogadać, przystają na gościńcu, kobiety rozmawiają, piorąc dywany w zakolu strumienia. To ostatnia wieś w tym rejonie Atlasu, leży na wysokości 2000 metrów. W lepiankach Tataouine klepie biedę 240 dawnych nomadów, którzy zeszli z gór, by spróbować osiadłego życia. Pracują jako dzierżawcy za 1/5 plonów, a w wolnym czasie, którego mają za wiele, najmują się do prac budowlanych w dolinie. Marokańscy zwą ich pogardliwie „harratine” – „nisko urodzeni”.

W Tataouine szukam mieszkających tam katolickich zakonnic – franciszkanek. – Poszły z dentystą na wysokie pastwiska – skrobie się po czole mężczyzna w błękitnej tunice i zawoju.

– Kiedy wrócą?

– Inszallah.

Szarif Zanun woła 17-letniego syna Walida, który się nudzi, bo ma wakacje i za 5 euro chętnie zaprowadzi mnie w góry, do zakonnic. – Pozdrowcie stomatologa – mówi na odchodnym Szarif. – Przypomnijcie, że robimy na jego cześć kolację.

Prośba podróżnych

Walid rzuca kamieniami w kierunku spotykanych psów i wyśpiewuje modlitwę „Allah jest moją prawdą”. Lubi sztuki walki i filmy z Claude'em Van Damme'em. Pokazuje ciosy. – I tak, i tak! A teraz zobaczysz coś fajnego – krzyczy i znika w szczelinie skały. Po chwili wyciąga rękę: – Dawaj plecak.

Szczelina ma 30 centymetrów szerokości i kilka metrów długości. W plecaku są karty kredytowe, sprzęt fotograficzny, magnetofon, notatki. – No, dawaj! – ponagla. – Dasz radę, mój ojciec tędy przechodzi.

Waham się. Jeśli chłopak ucieknie, cały sprzęt przepadnie. Jednak Walida można z czarować. Podaję plecak przez szczelinę i mówię wyraźnie: „Ha l-ar alik” (to jest zakłęcie „ar” skierowane do ciebie). Zakłęcia „ar” używa w Atlasie podróżnik proszący o pomoc i uciekinier próbujący schronić się przed pościgiem. Kto odmówi pomocy, narazi się na nieszczęście. Kto prosi o „ar”, jest bezpieczny.

Ludzie Boga

Franciszkanki Misjonarki Maryi mieszkają w Tataouine od lat 70. Zimą w wiosce, a latem z nomadami w górach. Francuski dziennikarz Nicolas Ballet, który odwiedził osadę w 2012 r., pisał: „Z każdego kąta wsi wzywała nęcza. Marie Vaile (87 lat) i Barbara Kołodziejczyk (59 lat) chodziły po pokoju w wełnianych czapkach i polarach. Barbara leczyła ciało i ducha okolicznych Berberów – w stylu brata Luca, z algierskiego klasztoru w Tibhirine, a Marie prowadziła przedszkole. Żyły w dużej bliskości z wyznawcami islamu”.

Skojarzenie z klasztorem w Tibhirine, w którym w latach 90., podczas algierskiej wojny domowej, porwano i zamęczono siedmiu francuskich zakonników żyjących w harmonii z wyznawcami islamu, są nieprzypadkowe. Trzy godziny drogi z Tataouine, w miasteczku Midelt, mieszka przyjaciel siostr: trapiста, ojciec Jean-



Matka Boska z tatuażem na bro

Droga chrześcijan i muzułmanów to rozstawną drabiną zakonu
My wchodzimy po jednej stronie, oni po drugiej. Im bliżej szczytu, tym bardziej

TEKST I ZDJĘCIA JAKUB CIEĆKIEWICZ

– Pierre Schumacher – ostatni bohater tamtych zdarzeń, które zostały uwiecznione w głośnym filmie „Ludzie Boga”. Ojciec Jean-Pierre ma 90 lat i wciąż chce żyć między muzułmanami.

Też się urodziłem wśród owiec

Kiedy przeciskam się przez szczelinę, Walid krzyczy wniebogłosy: „Hmou... Hmou...”. Za szczeliną ciągnie się kilkusetmetrowy wąż prowadzący do pieczar, w których owce chronią się przed zimnem. Krajobraz jak z westernu: białe skały otaczające kanion, strumień, brakuje tylko Indian. Po chwili na szczycie pojawia się pasterz. Ma czerwoną wełnianą czap-

kę i zawieszony na pasie długi, ostry nóż. – Chcicie herbaty? Marihuany? – przeciąga palcem po szyi. – A może zarżniemy owcę? – śmieje się z nadzieją. – Nie macie czasu? Weźcie chleb – wyciąga z torby placki i dzieli na części.

Pasterz nazywa się Hmou i należy do plemienia do grupy „zhańbionych”. Urodził się w grocie, wśród owiec. Kiedyś zwierzył się siostrze, że jako „człowieka bez wstydu” nie chce go żadna dziewczyna. – Opowiedziały mi historię wielkiego proroka islamu, który przyszedł na świat w stajni, i zrozumiałem, że jestem jak Sidi Assou (po berberyjsku Chrystus) – uśmiecha się, zaciągając dymem.

Przy ognisku pokazuje łokieć, który mu oparły zakonnice – nazywamy je „marabouya”, świętobliwe – dodaje. – Są tam – pokazuje w górę, wkłada palec do ust i nasładowuje wiertło. To znaczy, że razem z siostrami do nomadów poszedł francuski stomatolog Frédéric. Maszyna i generator wjechały z nim na mule na 3500 m!

Do namiotów zostały jeszcze dwie godziny. Droga pnie się stromo. Walid klnie na swoje różowe plastikowe buty. O czym marzy? – Żeby się ożenić i dalej mieszkać z rodzicami.

Bo co miałyby innego robić? Iść do wojska? A co by zrobił, gdyby wygrał milion dirhamów? Nie wie.

tobusowym biegają krzykliwi bagażowi popychający skrzypiące metalowe wózki. Konduktor w sfatygowanym uniformie ładuje tobą na dach furgonetki. Młode kobiety w czerwonych sukniach plotkują przed Boucherie Bismillah, starsze obserwują świat przez otwory w czarnych chustach. Sprzedawcy brzoskwiń palą jointy i popijają zieloną herbatę.

Miasteczko powstało w 1917 roku, wokół garnizonu Legii Cudzoziemskiej. Kilka lat później do Mideltu przyjechały Franciszkańki Misjonarki Maryi. Chciały pomagać muzułmanom, szczególnie kobietom. Stworzyły dla nich spółdzielnię rękodzielniczą, leczyły, prowadziły szkołę. Nie próbowały nikogo nawracać. Do ich klasztoru zbudowanego z gliny – Berberowie nazywają go Kasbah Myriem, czyli klasztor Maryi – przychodziło po leki, naukę, pracę kilka pokoleń muzułmanów.

– W roku 1970 w góry Atlasu wyruszyła pierwsza zakonnicą: pielęgniarka Cécile Proust – opowiada czarnoskóra Bibian, jedna z pięciu siostr mieszkających w miasteczku. – Latem żyła wśród koczowników w namiotach i leczyła chorych, zimą, gdy hale pustoszają, bo stada kóz, owiec i wielbłądów wędrowały na Saharę, schodziła do wsi Tataouine i pomagała tym, którzy tam osiedli. Przez cały rok nosiła burnus i sandały. Na jej pogrzeb do miasteczka przyjechali duchowni z Maroka, Francji i Algierii, z gór zjechali nomadzi na osłach i wielbłądach. Modlili się wspólnie. W niebo płynęły psalmy i sury Koranu.

Rozmowę przerywa telefon. Siostra Barbara wreszcie jest w zasięgu. Zwozi z gór Azize, która zaczęła rodzić w szóstym miesiącu. – To już jej piąta ciąża. Cztery poprzednie poroniła, więc musi szybko trafić do kliniki 200 km stąd.

Siostra Bibian, z którą czekamy przed szpitalem w miasteczku, wyjaśnia sytuację. Młoda matka, jak wszyscy w górach, jest nieubezpieczona i trzeba dla niej dopiero wyprosić leczenie. – Ale mamy radę, w marokańskich klinikach pracują zakonnice.

Przed parterowym budynkiem hamuje toyo-toda stomatologa, który wnosi ciężarną do lecznicy. Czekamy na karetkę, która zawiezie Berberkę do kliniki.

Berberowie mnie zmienili

Siostra Barbara Kołodziejczyk: dzinsowa spódnica, flanelowa koszula, żadnych symboli religijnych. Pochodzi z Wadowic. Ojciec pracował w betoniarni, matka była krawcową. Miała dziesięcioro rodzeństwa. Wszystkie dzieci ciężko pracowały: pomagały sąsiadom nosić węgiel do piwnic, zbierały w lesie owoce, pracowały na klasztornych polach. – Matka mówiła nam: „Nie czekajcie, aż coś dostaniecie” – wspomina.

Barbara skończyła liceum ekonomiczne, pracowała w banku. Widziała, jak ludzie się bogacą, kupują samochody. Aż usłyszała słowa Jana Pawła II: „Nie lękajcie się”. We wrześniu 1979 roku napisała do siostr franciszkanek, rzuciła pracę w banku, postanowiła żyć naprawdę. Dlaczego nie została na miejscu? – Wadowice to mały Rzym – śmieje się – tam jest mnóstwo zgromadzeń, znałam wszystkie. A ja miałam marzenie, że będę żyła między ludźmi, w wiosce, że będę dzielić ich los, jak Chrystus. Modlić się pod gwiazdami i służyć odrzuconym.

Kilka następnych lat spędziła w zakonach w Polsce, rok w Paryżu, 26 – w Maroku. Skończyła studium medyczne i studium medycyny tropikalnej, pracowała w szpitalach, przez długi czas właśnie w Mideltcie, gdzie wszyscy ją dobrze znają. Do dziś otrzymuje pensję pielęgniarki – 3700 dirhamów (około 370 euro), i jest oficjalnie oddelegowana w góry. O przeniesienie do Tataouine poprosiła, gdy jedna z siostr zachorowała na serce, a drugą wezwano do Rzymu i franciszkańskiej misji groziło zamknięcie.

Wśród Berberów mieszka już 11 lat. – Życie wśród nich mnie zmieniło. Poznałam ludzi, którzy czynią dobro, choć nie są chrześcijanami, mówią do siebie „Niech ci Bóg pomoże”, „Pokoju temu domowi”, jak kiedyś w naszym kraju.

Opowiada, że owdowiała kobieta z trojgiem dzieci egzystuje w Tataouine tylko dzięki opiece sąsiadów. Ludzie przynoszą jej jedzenie, pomagają w obowiązkach, zatrudniają do prac sezonowych. – Oni po prostu żyją w duchu Ewangelii.

Nawracanie zakazane

Dawniej siostry przez pół roku mieszkały we wsi, a drugą połowę spędzały wśród nomadów. Teraz wychodzą na hale co dwa tygodnie, a latem zostają przez miesiąc.



W Wadowicach jest dużo zakonów, ale ja chciałam żyć między ludźmi, dzielić ich los, jak Chrystus, modlić się pod gwiazdami i służyć odrzuconym

W Tataouine mieszkają w tradycyjnej lepiance z gliny, wapna i słomy. Główne pomieszczenie to salon z aneksem kuchennym: palnikiem podpiętym do butli. Byłoby ciepło woda nie ma. Mała stuzka dociera tylko do punktu leczniczego w centrum wioski. – Próbuje żyć jak sąsiedzi – mówi Marie. Jest pełna werwy, mimo że dźwiga na plecach dziewiąty krzyż. Do zakonu wstąpiła 62 lata temu. Pracowała w Libanie, Syrii i Maroku. – Trzeba to kochać, pragnąć się dzielić z ludźmi, żyć ich życiem – mówi. To dzięki niej dzieci w Tataouine mówią po francusku, arabsku, uczą się rachunków. Edukacja w Maroku nie obejmuje wszystkich, zwłaszcza dziewcząt. Wiele zostaje analfabekami.

Z fotografii na ścianie spogląda ojciec Amédec – jeden z dwóch trapistów cudownie ocalonych z rzezi w Algierii w 1996 roku. Mimo sędziwego wieku często wspinał się do namiotów nomadów. – Mówił, że droga chrześcijan i muzułmanów to rozstawną drabiną, zakończoną w niebie. My wychodzimy z jednej strony, a oni z drugiej. Im bliżej szczytu, tym bardziej do siebie się zbliżamy. Zmarł w 2008 roku.

Drugie pomieszczenie to mała bielona kaplica: gliniana posadzka przykryta ozdobnym dywanem, na ścianie krzyż, wizerunek Matki Boskiej z berberijskim tutażem na brodzie i ozdobny sznuręk, z którego ułożono arabski napis „Allah”. To wszystko. Taki kościół w Tataouine wystarczy. I może w ogóle wystarczy? Wielu turystów mówi siostram, że spotkali tu to, czego szukali od dawna.

Zakonnice każdy dzień zaczynają od modlitwy. – Zapraszamy na nią tych, którzy są w pobliżu. Kobiety, które zaczynają chleb, mężczyźni, którzy przygotowują muły do pracy w polu, pasterzy, którzy mają wyruszyć ze stadem, dzieci idące do szkoły.

Siostry modlą się po swojemu, górale po swojemu. Różnica wyznają nie przeszkadza. Ostatnio franciszkańki pomogły sąsiadom uzyskać zezwolenie na budowę meczetu, bo urzędnicy w miasteczku nie przyjęli delegacji górali. Obecność zakonnic – mówiących po arabsku, berberysku i francusku – dodała im pewności, a urzędnicy wiedzieli, że siostry znają prawo. – W górach liczy się, czy masz serce i czy umiesz się nim dzielić – mówi Szarif, ojciec Walida.

Siostry chętnie organizują przyjęcia dla sąsiadów. W 25. rocznicę Świątowego Dnia Pokoju Marie i Barbara zaprosiły kobiety z wioski do wspólnej modlitwy o pokój we wsi. Berberki recytowały pierwszą surę Koranu, zakonnice modlitwę do św. Franciszka, potem wszystkie stanęły w kole, żeby wymienić pocałunek. – Wśród zebranych była matka z dzieckiem odrzuconym przez ojca i jej niedoszła teściowa. Rodziny patrzyły na siebie krzywo. Po modlitwie młoda matka podeszła do starszej kobiety i powiedziała: „Przepraszam” – opowiada Barbara. – Doszło do pojednania. To było coś niezwykłego!

Barbara i Marie mówią, że codziennie nawracają się dzięki wyznawcom islamu. Nawracanie muzułmanów jest zakazane przez prawo.

Przed i po prądzie

Życie w Tataouine nie jest jednak rajem. Siostry opowiadają o tym niechętnie. – Wielu ludzi się kłóci... – wzdycha Marie. – Przysłowio-we spory o międzę – dodaje Barbara. – Jak w Polsce na wsi dawno temu. Ale po pewnym czasie się godzą, najczęściej na święta.

Kiedy przybyły w góry, w Tataouine nie było światła, mimo to ludzie wydawali się bardziej żyć. Pięć lat temu – dzięki franciszkancom – do wsi doprowadzono elektryczność. Przy budowie pracowali wszyscy, ale inwestycję sfinansował kuzyn Marie. – Potem mężczyźni zaciągnęli kredyty na anteny satelitarne i oglądali program po dziesięć godzin dziennie – przyznają.

Więzi między ludźmi się jakby poluźniły. Nad Tataouine wiszą sznury gwiazd. Wokół domów migają komórki, na których grają chłopcy. W drodze na kolację dentysta Frédéric Sirvent wyjaśnia siostram, jak zabezpieczyć środki medyczne, które zostawia do następnego pobytu. Od sześciu lat przyjeżdża co rok, by przez dwa tygodnie leczyć nomadów. Podobną pracę wykonuje na Saharze. Wraz z żoną Valerie należą do grupy modlitewnej w Lourdes. – Chcemy oddać ludziom dary, które dostaliśmy od Boga. Pomagamy biednym, nieubezpieczonym, których nie stać na leczenie – mówi. W ciągu 14 dni leczy średnio 200 osób, wykonując 600 zabiegów.

Szarif z latarką w dłoni stoi w progu chaty. Jego córka Aghrom, dźwigająca na plecach kilkuletnią dziewczynkę zawiniętą w chustę, przegotowuje kolację w piecu na zewnątrz lepianki.

W środku nie ma podłóg ani mebli. Na utwardzonej ziemi leżą dywany i poduszki. W centralnym punkcie stoi stół, który służy domownikom za ogromny talerz. Żona Szarifa, córka z mężem i trzech dorosłych synów mieszka tu wspólnie. Dzierżawia dom od kogoś z miasteczka.

Do rąk gości trafia gorąca harira i cienki placek. Żona jest doskonała, ale rodzina nie wyciąga dupi po jedzenie. Widać, że gospodarze boją się, że go zabraknie, a to spowodowałoby utratę twarzy. Na szczęście sypu starcza. Po chwili na stół trafia miska tądżin: ziemniaki, marchewka, baranina.

Szarif jest kimś w rodzaju opiekuna klanu. Potrafi wypatrzeć, że dziecko nomadów ma złe założony gips, i zwiezić je na osie do przychodni, wykpać psychicznie chorego Ahmeda, zorganizować wykład na temat kooperatywy pszczelarskiej albo pomagać dzieciom w odrabianiu lekcji. Jego rola pochodzi z czasów, gdy „nieskazitelną”, ciesząc się zaufaniem klanu, ustalał kolejność korzystania z pastwisk i dostępu do wody. O czym marzy? – Żebyśmy byli zdrowi.

Czy czuje się szczęśliwy? – Jak najbardziej. Co jest w życiu ważne? – Honor... jedzenie... wolność... i żeby ludzie sobie pomagali. Spotkanie powoli przekształca się w zebranie większego stowarzyszenia Tanoute (Mała studnia), dla którego siostry piszą projekty, prowadzą księgowość, szukają sponsorów, zatrudniają wolontariuszy. Dzięki stowarzyszeniu wyposażono przychodnię i przedszkole. Wioska dostała kozy, które się szybko rozmnażają, i sadzonki jabłoni, które ludzie otrzymali za grosze. Dary przywozła samochodem ambasady RP pani konsul Marta Sek-Spirydowicz. Ale kolejnych siostra Barbara nie przyjeżdża. – Żeby ludzie próbowali sami...

Poza tym dary, choć potrzebne, zawsze wywołują kłótnie.

Szarif odbiera telefon. – Aziza dotarła do Meknesu!

Order alawitów

Nazajutrz rano przed przychodnią w Tataouine czeka już kilkadziesiąt osób. Wśród nich mąż odwieziony do szpitala Azizy. Barbara mu cierpliwie wyjaśnia, że jeśli zona opuści klinikę, straci dziecko.

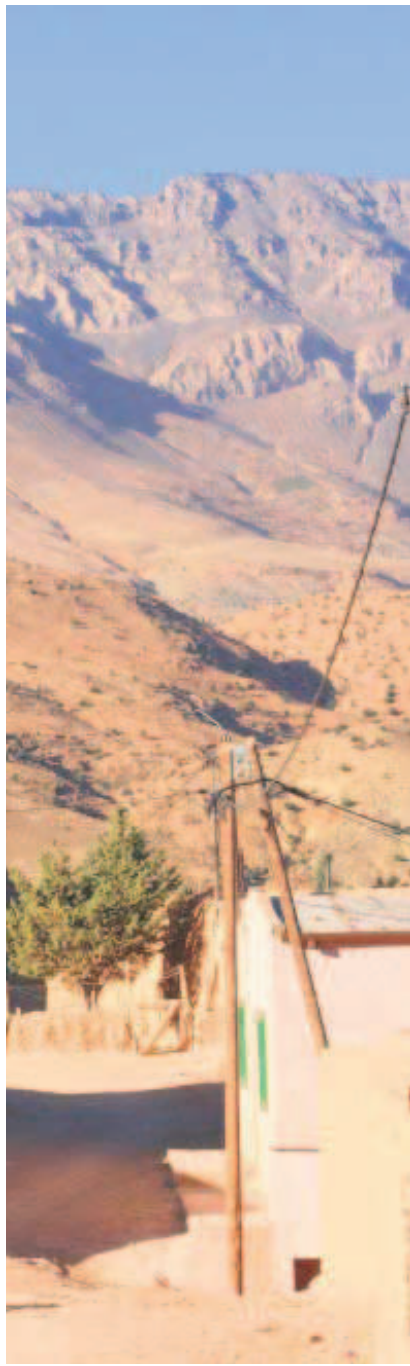
W przychodni leży mały podręcznik fitoterapii napisany jeszcze przez siostrę Cécile. Zawiera długą listę endemicznych roślin, które zakonnice zbierają w górach. Robią likier z czosnkiem na gardło i syrop z eukaliptusa na zatoki. Czasem Barbara serwuje antybiotyki, a ciężej chorych odwozi do szpitala, choć to problem, bo nikt w wiosce nie ma samochodu.

Na ścianie przychodni wisi dyplom. W 2010 roku król Maroka Muhammad VI, duchowy przywódca muzułmanów, odznaczył siostrę Barbarę najwyższym orderem Maroka – Wisam El Alaoui (odpowiednikiem francuskiej Legii Honorowej). Potomek Mahometa – katolicką siostrę.

Po południu siostry wracają w góry, do nomadów. A po kilku miesiącach dostają wiadomość od Barbary: Aziza urodziła w ósmym miesiącu. Dziecko żyło zaledwie sześć tygodni.

DF

Autor jest członkiem Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego



dzień źródła w niebie. się zbliżamy

Brunatne namioty stoją pośród szczytów. Wielkie, majestatyczne, oddzielone od siebie zagrodami, w których kózki i owieczki czekają na matki pasące się na pastwiskach. Siostry nie ma. Poszły ze stomatologiem jeszcze wyżej, pomagając brzemiennej Berberce Azizie. Są poza zasięgiem telefonu. Koczowniczy wyjazd przed namiot placki, olej i wielbłądzie mleko. Nie chcą zapłaty za gościnę. Trudno. Postanawiam, że na siostry zaczekam w najbliższym miasteczku.

Psalmy i sury

Miasteczko Midelt, leżące między Atlasem i Saharą, to już prawdziwa Afryka. Po dworcem au-